



SPATiF, lata 60. XX w.. Na zdjęciu od lewej: Małgorzata Kobiela, Bogumił Kobiela, Jerzy Passendorfer FOT. JERZY MICHAŁSKI/RSW/FORUM



Z Aleksandrą Szarłat, dziennikarką i pisarką
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Aleje Ujazdowskie 45

KRZYSZTOF MASŁOŃ I TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Bywała pani w Stowarzyszeniu Polskich Artystów Teatru i Filmu (SPATiF)?

ALEKSANDRA SZARŁAT: Zaledwie raz – w połowie lat 80. – i jedynie na obiedzie, nie uczestniczyłam więc w obecnym tam wieczorami życiu stadnym. Znam je wyłącznie z lektur i opowieści.

Z których w znacznej mierze utkana jest pani książka. Te dotyczące SPATiF-owskich początków bywają zaskakujące. Dowiadujemy się np., że

zdaniem Maryny Kobzdejowej we wczesnych latach 50. posiadanie pieniędzy było w klubowym towarzystwie w dobrym tonie, ale ich zarabianie już nie bardzo. Jak to wytłumaczyć?

Artyści uważali, że komunizm należy po prostu przeczekać. Pracą chwalić się nie należało, bo była skażona komunistyczną propagandą. Dlatego ważniejsze było „być” niż „mieć”. Liczyły się osobowość i inwencja, a w ucieczce od ponurej teraźniejszości pomagał alkohol. Większą wagę do dóbr materialnych zaczęto

przykładać dopiero w latach 60., co jako „naszą małą stabilizację” uwiecznił Tadeusz Różewicz w głośnym dramacie.

Wcześniej zresztą afiszowanie się zarobkami nie było bezpieczne. Ostentacyjnie robił to warszawski celebryta Andrzej Rzeszotarski i nie wyszło mu to na dobre. W kraju panowała bieda. Jak opowiadała Emilia Krakowska, obecność na prywatce u posiadacza mieszkania z wygodami nierzadko łączono z ablucją w wannie, bo większość lokali – skądinąd zazwyczaj wspólnych – miała wspólne toalety i łazienki. Permanentnie więc bywały zajęte, a do tego częstokroć prymitywnie wyposażone. Trudne warunki lokalowe sprawiały, że ludzie spotykali się na mieście, a ludzie szeroko rozumianej kultury – nierzadko właśnie w SPATiF.

Wspomniała pani o alkoholu, wedle innego bywalca klubu – Pawła Unruga – w SPATiF lejącego się strumieniami i przekształcającego to miejsce w zwykłą spelunę.

To chyba opinia przesadzona. Dla wielu moich rozmówców SPATiF był synonimem domu. Relacje i świadectwa nie negują wprawdzie stałej obecności tam trunków – wódki w pierwszym rzędzie – niemniej akcentują, że stanowiły one katalizator życia towarzysko-uczuciowego – że przywołam tu tytuł powieści Leopolda Tyrmanda, również klubowicza – toczącego się w kamienicy przy Alejach Ujazdowskich 45 w Warszawie właściwie każdego wieczora.

Nie był to jedyny adres klubu...

Gdy powstał, w roku 1952, przez kilka lat funkcjonował przy ul. Józefa Pankiewicza 2, róg Nowogrodzkiej, w wąskiej i ciasnej „kiszce” na parterze, przedzielonej posągami niewieścim. Wnętrze było mało przytulne, lecz frekwencja dopisywała. Odbywała się tam swoista giełda zawodowa. Kompozytorzy dobierali sobie tekściarzy i wykonawców tudzież odwrotnie. Zdarzały się też incydenty, między artystami dochodziło do pyskówek. Kiedyś jeden literat spoliczkował drugiego... Po wojnie w kamienicy przy Alejach Ujazdowskich 45 na rok lub dwa lata znalazł schronienie ówczesny prezes ZASP, Dobiesław Damiński, wraz z żoną Ireną Górską i synami: Damianem i Maciejem. Ten pierwszy drobiazgowo zrekonstruował mi rozkład swojego mieszkania z dzieciństwa. Gdy po latach został aktorem, bywał też oczywiście w klubie, niejako u siebie. W 1976 r. na

trzy lata – z powodu remontu – przeniesiono SPATiF do kamienicy przy ul. Pięknej 11, gdzie zajął miejsce knajpy Pod Kogutami.

To tam zakazano wstępu Zbigniewowi Brzezińskiemu?

Owszem, zatrzymał go wieloletni szatniarz, legendarny pan Franio, informując, że „w paletku nie wpuszczamy”. Innym razem amerykański polityk polskiego pochodzenia dostąpił zaszczytu wejścia – notabene razem z towarzyszącą mu w roli asystentki Madeleine Albright – ale kłopoty z wejściem mieli towarzyszący im ochroniarze.

Przywołany tu szatniarz, Franciszek Król, uchodził za ucho esbecji.

Wnikliwa kwerenda, którą przeprowadziłam w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej, potwierdza, że został zarejestrowany jako TW „Franek”, ale ze zlecanych mu zadań wywiązywał się słabo. Miał notować pobyty w klubie zagranicznych gości. Dwukrotnie pokwitował wynagrodzenie od Służby Bezpieczeństwa, ale za trzecim razem polecił, by je przelać na konto Szpitala Matki Polki. Był to człowiek z awansu społecznego. Prostolinijny, życzliwy i operatywny – czego dowodzą liczne interesy prowadzone pokątnie z artystami. Skądinąd klubowicze zdawali sobie sprawę z dwuznacznej roli, którą odgrywał. Janusz Minkiewicz tytułował go stopniami oficerskimi, co pewien czas awansując.

Nie oznacza to wszakże, że klub nie był infiltrowany.

Oczywiście! Liczba pseudonimów tajnych współpracowników czy też kontaktów operacyjnych donoszących o wydarzeniach i rozmowach zasłyszanych w SPATiF jest niemała. W swych meldunkach zawiadamiali przełożonych o sprawach prywatnych, często intymnych, streszczali zasłyszane dowcipy polityczne, informowali o planach twórczych...

Mogło to zniszczyć niejedną karierę. Marek Nowakowski i Ignacy Gogolewski uważali, że władza ludowa celowo zezwoliła na utworzenie Klubu Aktora SPATiF, aby mieć na oku grupującą się tam regularnie PRL-owską bohemę.

Z pewnością ułatwiało to inwigilację wpływowego w Polsce Ludowej środowiska. Z podobnej przyczyny w tym

samym okresie utworzono inne lokale o charakterze korporacyjnym – dla dziennikarzy, architektów, lekarzy... No i rozmaite domy pracy twórczej. Tym, co mnie najbardziej zaskoczyło podczas pracy nad tą książką, poza pandemią utrudniającą kontakty, był brak dokumentacji dotyczącej klubu. W archiwum Związku Artystów Scen Polskich nie ma nawet księgi pamiątkowej. Ponoć zaginęła. Nie mogę jej odzłotać.

Zapomniany dziś satyryk, Józef Prutkowski (primo voto Nacht, jak się przedstawiał), miał w SPATiF własny stolik.

Nie był w tej dziedzinie wyjątkiem. To człowiek, który zmarnował swój literacki talent. W okupowanym przez Sowieców Lwowie uwikłał się w politykę, tworząc serwilistyczne strofy, a po wojnie afirmował socrealizm. Rozdrabniał się, pisząc teksty doraźne i okolicznościowe. Dla prasy, radia, telewizji, nawet cyrku! Bardzo interesował się sportem. Był ze wszystkimi – także dygnitarzami – za pan brat.

Pod koniec lat 60. przyszło mu ich prosić o pomoc...

Wiosną 1968 r. Służba Bezpieczeństwa wzięła go pod lupę, ponieważ – jak widniało w raporcie – „utrzymuje kontakty z literatami o poglądach proizraelskich. Współdziałał z bratem Mieczysławem Martulą w sprawie wydania książki »Wygrałem z Hitlerem«, napisanej przez drugiego brata, przebywającego w NRF Mariana Rogowskiego. Książka w swej wymowie jest tendencyjna i antypolska”.

Chociaż nigdy jej nie opublikowano, a Prutkowski uznał ją za nienadającą się do druku, to esbecja przeprowadziła u niego rewizję.

Skonfiskowano mu dziennik, polskie książki wydane za granicą, kolekcję harmonijek oraz pistolet typu FN kal. 6,35 mm wraz z amunicją. Za literackie aspiracje Rogowskiego najciężej zapłacił Martula oskarżony o kolportaż maszynopisu. Co więcej, proponował druk książki w odcinkach „Expressowi Wieczornemu”! W rezultacie stracił pracę, został relegowany z PZPR, a nawet kilkanaście miesięcy spędził w celi aresztu. Potem dostał paszport w jedną stronę.

W tamtych czasach powstał w SPATiF kalambur Andrzeja Szczepkowskiego „Ratuj się, kto juif”.

Humor klubowy wydatnie wspomagały trunki. Wiesław Dymny radził: „Nie pij

wódki z alkoholem”, Edmund Osmańczyk deklarował: „Piję tylko po zachodzie słońca”, Stefan Kisielewski wymyślił bon mot: „Nie pije się po to, aby było lepiej na duszy, ale żeby zmniejszyły się wymagania”, Tadeusz Konwicki twierdził: „Wódka jest niedobra, ale zdrowa”, Bernard Ładysz mawiał: „Piję tylko w dwu wypadkach – w dzień i nocą”. Dykteryjki wynikały też z konwersacji. Choćby takiego dialogu Anny Chodakowskiej z Tadeuszem Plucińskim:

- Tadeziu, miło cię widzieć, bo śniłeś mi się.
- Nago?
- No, nie.
- W takim razie to nie byłem ja...

O niektórych bohaterach pani książki rzec można, że w SPATiF spędzili pół życia. Nie tylko jedli, pili i gadali, lecz także zakochiwali się, bywało, że w atrakcyjnych kelnerkach czy barmankach.

Tak właśnie znaleźli swoje żony Jerzy Duszyński, Wieńczysław Gliński czy sławny lotnik Stanisław Skalski.

Jedni się kochali, drudzy umierali...

To z Klubu Aktora, niemal od stolika karetka pogotowia zabrała Jonasza Koftę do szpitala, gdzie wkrótce zmarł. Po fatalnym upadku na kamiennych schodach prowadzących do toalety taką samą ostatnią drogę odbyła Hanna Skarżanka. A znacznie wcześniej, bo w 1967 r., zmarł w SPATiF prof. Marian Wnuk, rzeźbiarz i pedagog.

Co bywalcy SPATiF znajdowali w tym miejscu, do którego ciągnęli niczym pszczoły do ula?

Joanna Rawik powiedziała mi wprost: to był nasz dom. Artystka do stolicy przyjechała z Krakowa, zamieszkała w wynajętym pokoiku i kiedy tylko mogła, biegła do SPATiF, by znaleźć się wśród ludzi podobnych sobie. Poznawała tam osoby z artystycznego Parnasu, miała prawo dosiadać się do stolika Janusza Minkiewicza, gdzie raz czy dwa znalazła się w towarzystwie Antoniego Słonimskiego, co miało swoją wymowę.

Skoro mówimy o stolikach, to poza Józefem Prutkowskim, który miał swoją „łóżę generalską”, i Stanisławem Wohlem, gromadzącym wokół siebie filmowców, do legendy przeszedł właśnie stolik Janusza Minkiewicza, poniekąd literacki.

Poświęcam mu w książce wiele miejsca, był bowiem niezwykle ważną postacią. Łączył swoją osobą dwie Polski: tamtą przedwojenną, w której dał się

już poznać jako utalentowany autor, poeta i satyryk, kontynuator Skamandra, nazywany niekiedy nawet małym skamandrytą, i tę drugą Polskę, która mogła się nie podobać, ale innej nie było. Za Minkiewiczem szedł też mit dawnych kawiarni: Ziemiańskiej, Sztuki i Mody, Zodiaku, które wojna zmiotła z powierzchni ziemi, ale w SPATiF wciąż był to ten sam Minio, przesiadujący w tamtych lokalach, a teraz przy swoim stoliku.

Odnieść jednak można wrażenie, że towarzyskie walory Minkiewicza, ujawniane zresztą jedynie gronu wybrańców, bo umiejętnie przesiewał osoby chcące się do niego dostać, zdecydowanie przewyższyły jego dorobek literacki. Jak by to bowiem złośliwie nie zabrzmiało, najbardziej znanym utworem tego twórcy napisanym w Polsce Ludowej jest poemat „Lenin w Poroninie”.

Z pewnością jego potencjał przewyższał to, co pozostawił po sobie, szybko zresztą zorientował się, że uprawianie satyry w komunizmie to działalność skazana na porażkę. Tworzył zatem głównie libretta operetkowe, humoreski, wiersze dla dzieci czy teksty reklamowe, tłumaczył musicale, by wreszcie zaprzestać pracy literackiej, ujawniając swój niepowtarzalny talent już jedynie przy stoliku w SPATiF. Ale dysproporcja między ambitnymi początkami i możliwościami a końcowym rezultatem zdecydowanie bardziej dramatycznie wyglądała w wypadku Józefa Prutkowskiego. Dość przypomnieć sobie produkcje jego kabaretu Friko.

Z kolei o Stanisławie Wohlu została chyba tylko dobra pamięć.

Rzeczywiście, zetknęłam się tylko z jedną anegdotą na jego temat, zresztą sympatyczną. Wszyscy wspominają go jako człowieka mądrego, dobrego i uczynnego, żywą historię polskiej kinematografii, którą poznał na wskroś i jako operator, i jako scenarzysta, i znów – jako ten, który pracował w polskim filmie i przed wojną, i po wojnie. A poza tym wszystkim świetny pedagog.

Niewątpliwie klub SPATiF był miejscem, w którym – niezależnie od tego, co jego znaczące postaci robiły w latach tużpowojennych – pielęgnowano pamięć o II Rzeczypospolitej, choćby w anegdocie.

Przywoływano choćby, i to wielokrotnie, powiedzenia sławnego Franca Fiszera, chyba najbardziej znanej figury warszawskiej śmietanki towarzyskiej międzywojnia, filozofa, a także pieczeniara, a przede wszystkim autora świetnych bon motów, który

– dla przykładu – za obiekt swoich żartów obierał często Bolesława Leśmiana, poetę drobnej budowy. Słynny był żart Fiszera, jak to zajęła pusta dorożka i wysiadł z niej... Leśmian. I to on na pogrzebie Fiszera płakał najgłośniej. A skoro o pogrzebach mowa, to w ostatniej drodze panu Franiowi, szatniarzowi ze SPATiF, towarzyszyło tak wiele osób, że ludzie obserwujący orszak żałobny byli przekonani, iż to ceremonia jakiegoś partyjnego decydenta...

W SPATiF ceniono dobry żart, ten okrutny może najbardziej, a w klubie często bywało nad wyraz śmiesznie, chociaż trudno opowiedzieć komuś, kto tego nie widział, na czym polegał nie tyle może komizm, ile tragikomizm sytuacyjny, gdy tak bliżej północy Zofia Grabińska przypominała o sobie, śpiewając czy raczej, przepraszamy za wyrażenie, rycząc: „Jest Warszawa”.

Jerzy Gruza utrzymywał, że świadkiem tego właśnie wydarzenia, które stało się rytuałem SPATiF, był m.in. zaproszony tam na kolację znakomity szwajcarski dramaturg Friedrich Dürrenmatt. Mocno się zdziwił, podobnie jak Marlena Dietrich, na widok, co tu dużo mówić, mało eleganckiej zastawy podanej jej do posiłku.

No to dodajmy jeszcze, że i Artur Rubinstein przekroczył progi lokalu przy Alejach Ujazdowskich 45. Ale Stowarzyszenie Polskich Artystów Teatru i Filmu miało swoje kluby i w innych miastach.

Z ciekawych historii związanych ze SPATiF krakowskim i sopockim musiałam zrezygnować ze względu na objętość książki, pomieściłam jedynie część materiałów na temat klubu łódzkiego, zwłaszcza jego lat pionierskich.

Toteż kroi się nam drugi tom historii Klubów Aktora. Dzieje te jednak pod pani piórem stanowią coś więcej niż prostą kronikę wydarzeń sprzed lat, które akurat tam, a nie gdzie indziej miały miejsce. Narracja obejmuje szerokie tło życia społecznego i politycznego PRL, uwzględniając m.in. reperkusje Listu 34 czy to, co nastąpiło po marcu 1968 r.

W innym wypadku byłyby to tylko zbiór po części niezłe już znanych dykteryjek z Himilsbachem i Maklakiewiczem czy Zofią Czerwińską w rolach głównych. Zależało mi na tym, by pokazać, że w tamtych trudnych i biednych latach można było stworzyć jakąś oazę innego życia i posmakować choćby namiastki wolności.

Miał SPATiF swoje złote lata w siódmej i ósmej dekadzie zeszłego wieku, podupadając w latach 80. i, może paradoksalnie, przechodząc w nie-

był wraz z odyskaniem przez Polskę wolności właśnie.

Wprawdzie formalnie lokal istnieje po dziś dzień, stracił jednak swój niepowtarzalny charakter, stając się restauracją, czasem lepszą, czasem gorszą niż inne. Olgierd Łukaszewicz ujmuje to tak: „Dla młodych SPATiF to najwyżej izba pamięci. Aktorzy chętniej wieszają na ścianach swoje zdjęcia, niż tam bywają”.

Szkoda.

I to bardzo. Bohaterowie mojej książki nie izolowali się tak, jak aktorzy dzisiaj, nie zamykali się w swojej prywatności – żyli bardziej otwarcie. Oczywiście do pewnych granic, przy czym SPATiF oferował im złudne poczucie odcięcia się od tego, co na zewnątrz. Dawał świadomość przynależności do niemałego wprawdzie, ale zamkniętego kręgu, w którym czuli, że są wśród swoich.

Choć o tym, czy zostanie się do klubu wpuszczonym, zdecydował pan Franio...

A bywało, że i wyższa instancja, czyli kierownik klubu, który rzadko, bo rzadko, ale wydawał czasowy zakaz wstępu dla szczególnie uciążliwych biesiadników, co dotknęło m.in. Jana Himilsbacha. Zemścił się on potem, przybierając w kultowym „Rejsie” nazwisko owego surowego kierownika – Władysława Sidorowskiego.

Rozumiemy, że młodzi artyści wybierają dzisiaj inne miejsca spotkań, ale jak dotąd nie stworzyli na dłużej żadnej marki, choć trochę porównywalnej do tamtej PRL-owskiej Ziemiańskiej, bo i tak – z dużą dozą przesady – nazywano SPATiF. Cóż, żyje się dziś inaczej.

Niestety, wspólne spędzanie czasu przestało być ważne. Komputer tego nie zastąpi, choć wpatrujemy się w jego ekran i prowadzimy rozmowy poprzez komunikatory z kieliszkiem wina w dłoni. To jednak nie to samo. A miejsc mitycznych, jak napisałam, w realnym świecie odtworzyć się nie da.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Aleksandra Szarłat

– dziennikarka, pisarka, wykładowczyni akademicka, autorka książek: „Prezenterki. Tele PRL”, „Pierwsze damy III Rzeczypospolitej”, „Celebryci z tamtych lat”, „Żuławski. Szaman” i najnowszej „SPATiF. Upajający pozór wolności”.